

Dekada

Kraków

15 grudnia 1990, sobota

Nr 3

Literacka

Tygoanik

W POSZUKIWANIU EUROPY

Studia nad świadomością europejską w polskiej literaturze współczesnej CZĘŚĆ II: POWRÓT DO ŹRÓDEŁ

Maria Delaperrière

Profesor historii literatury polskiej w Paryżu, pani Maria Dalaperrière w swoim dwuczęściowym eseju zastanawia się nad tym jaka będzie symbioza tego co „narodowe” i tego co „europejskie” w polskiej mentalności — dziś, gdy zwracamy się ku Europie. Oto część druga, poprzednią drukowaliśmy w nr 2 „DL”.

Obecność tradycji europejskich w literaturze polskiej ostatniego półwiecza zwykło się tłumaczyć (nie bez słuszności) pragnieniem wydobywania się z komunistycznej alienacji. Swoistą terapią były tu podróże w przestrzeni i czasie ku źródłom kultury europejskiej — najczęściej śródziemnomorskiej — w których polscy twórcy odkrywali paradoksalnie własną, zagubioną tożsamość. Równocześnie jednak kompleks europejski prowadził do dużo głębszych rozważań nad kulturą w jej współczesnym, często zdewaluowanym wydaniu, co nadawało mu wymiar przede wszystkim etyczny. Wykluczeni z historii Europejczycy wschodni okazali się wyjątkowo wyczuleni na niepokojące konsekwencje krańcowego rozwoju „mentalności liberalnej”, której ostatnim (i chyba ostatecznym) wcieleniem był totalitaryzm.

Europa Wschodnia odizolowana i stłumiona w rozwoju szukała w literaturze rekompensaty, przypisując sobie rolę gwaranta dawnych europejskich walorów, wymazanych już dawno z pamięci Zachodu. W ten sposób rodził się stopniowo mit „Innej Europy”, która miała przypominać Europie Zachodniej (marzył o tym Zagajewski), że ona sama była kiedyś młodsza, pogodniejsza i bardziej utalentowana.

W tym świetle szczególnej wagi nabiera zjawisko powrotów wstecz, mitycznych autobiografii i poszukiwań genealogicznych, które mnożą się w literaturze współczesnej. Wyraźnie one przeczą historii wydarzeniowej, faworyzując wspomnienia zapisane w pamięci zbiorowej. Zjawisko to występujące u Miłosza, Buczkowskiego, Kuśniewicza, Vincenza, Wojciechowskiego, Strykowski, Paźniewskiego (listę można przedłużyć), składa się stopniowo na ponadczasowy obraz przeszłości, w której nie tyle konkretna epoka historyczna się liczy ile same tradycje i obyczaje, zakorzenione w kulturze agrarnej poddanej rytmowi wiecznych powrotów sezonów i słońca.

„Tradycje i rytuały rodzinne”

Nie miejsce tu oczywiście na przywoływanie wszystkich funkcji działań mitycznych, zakodowanych w tradycjach rodzinnych i zbiorowych, świąt świeckich i religijnych, do których często sięga polska proza współczesna. Wystarczy wspomnieć, że w literaturze funkcjonują one w tonacjach bardzo zróżnicowanych, od fascynacji po parodię, łącząc czasem kilka tonacji naraz: czy to będzie na przykład, wieczór wigilijny u Konwickiego, rytuał zbierania grzybów u Rymkiewicza, ceremonia bratania się u Gombrowicza, czy też sarmaackie uczyty kojarzące się, zwłaszcza u Kuśniewicza, z portretami nagrobnymi (przypomnijmy, że skojarzenie gastronomii ze śmiercią odpowiada w pełni obrazowi rytuałów rabelesowskich, gdzie narodziny, życie i śmierć uobecnione w symbolizmie posiłków wiążą się, jak słusznie zauważył Dachtla, z rytmem natury i jej wiecznymi powrotami).

ciąg dalszy na str. 4

STANISŁAW BALBUS POLECA:

MARZENA BRODA zadebiutowała w 1990 roku tomikiem „Światło przestrzeni”, wydanym przez Oficynę Literacką. We wstępie do tomiku S. Balbus pisał:

„Jest to debiut, ale debiut niecodzienny. I nie tylko dlatego, że zadziwiająco dojrzały. Niecodziennosc tego debiutu polega na tym, że wnosi on od razu do współczesnej poezji polskiej pewną nową, a przynajmniej oryginalnie wybrzmiewającą tonację. Precyzja, ład, oszczędność a przy tym bujność i rozmach wyobraźni, ostrość plastycznego widzenia rzeczy i zjawisk łączy się tu z umiejętnością wydobycia ich znaczeń uniwersalnych, wprowadzania ich w metafizyczne perspektywy”.

Oto najnowsze wiersze tej poetki.

MARZENA BRODA

Motyl

Mam rzec, że ciebie wcale nie ma?

Josif Brodski

*Motyła karmię z ręki i słyszę,
że cień przesuwa się po ścianie.*

*(Ktoś przez zamknięte drzwi
wchodzi do mojego świata).*

*Czy to wieczór, jarzący się
niebieskim płomieniem, przenika
me myśli? Nie, to motyl poruszył
delikatnie skrzydłami.*

Dom z czerwonej cegły

*Były w domu rzeczy święte: fotografia przecięta
czarną wstęgą żalu, nadtopiona świeca w lichtarzu
z pożegnalnego wieczoru, telefon zawieszony na ścianie
w pół słowa. Nic więcej, może tylko samotność,
której schronienie jest przekleństwem.
Dokądkolwiek pójdziemy, ona pójdzie z nami
wskazując wyjście z niewoli: przepaść dla wszystkich
tę samą. Dom równie śmiertelny jak my. Dzikie zwierzęta
bez gniewu rzucające się na swoje ofiary.*

*Między czymś, co nazywam niebem
i czego nie mogę dotknąć,
zamknąć ramieniem jak własną postać;
jest świat, do którego powracam,
gdzie zawsze ktoś czeka,
przy słabym świetle elektrycznej lampy.
Dziękuję mi za to. Ja nigdy nie umiałam
czekać, choćby do spełnienia dzieliła
chwila. Bywało, że wracam z dalekiej
wyprawy, znajdując słowo szukane —
na progu. Dziwne są losy karty!
Gdy gwiazda, która w przepaść spada
jest tą jedyną w smutnym kraju,
pełnym wyniosłego chłodu.*

Przegląd Prasy

Jeśli przyjąć, że czasopisma tzw. społeczno-kulturalne redagują inteligenci, to dziwić musi, że ludzie ci dzisiaj tak niewiele uwagi poświęcają przyszłości swej grupy społecznej. A przecież stało się coś niezwykle symptomatycznego: w wyborach na szefa państwa wyborcy odrzucili wszystkich kandydatów z wyższym wykształceniem i wszystkich władających poprawną polszczyzną. Obie te właściwości uważano dotąd powszechnie za główne cechy przynależności do warstwy inteligencji. 25 listopada krzyżki na kartach wyborczych wypisały polskiej inteligencji mane, tekel, fares.

Problem ten najpoważniej traktuje POLITYKA. W nr 49 w artykule „Odwrót przez tryumfalną bramę” Zdzisław Pietrasik pisze m.in.: „W 1990 r. ostatecznie przysł mit jedności wszystkich ze wszystkimi, a inteligencja zaczęła na powrót eksponować swe cechy wyróżniające ją z tłumu. Jedną z prób (...) były występujące dość często w dyskusjach rozróżnienia dwóch dróg prowadzących nas do Europy. Dla jednych (tzn. dla inteligencji) Europa miała być wspólną normą wypracowaną z tradycji kultury śródziemnomorskiej, dla reszty zaś — Europa miała jawić się spichlerzem obfitości. (...) Nie może zatem dziwić, że tak szybko nasz rząd zaczął być postrzegany przez ogół jako emanacja nowego inteligentnego establishmentu. 'Nasi' stali się 'onymi'. (...) Myślę ponadto, że grubo przesadziliśmy powtarzając często, iż Polacy mają szczególne zamilowanie do historii. Znając ogólny poziom wykształcenia społeczeństwa, trudno oczekiwać wyjątkowych kompetencji w tej akurat dziedzinie. Większość młodych Polaków kończy szkoły zawodowe, a w nich do 1980 w ogóle nie uczono historii, a jak się uczy dzisiaj, można sobie wyobrazić. W rezultacie wielki historyczny spektakl, jaki sobie zafundowaliśmy, wcale nie trafił do tak szerokiej publiczności, jak niektórzy się spodziewali. Na pewno zaś nie dostarczył im tego typu satysfakcji, która zwiększyłaby poczucie tożsamości, uczyła myślenia obywatelskiego (...).” Skoro już o inteligencji, języku i POLITYCE mowa, zacytujmy z tego samego nr fragment notatki pt. „Rozkjarzenie” z przedostatniej strony: „W tych dniach w programie telewizyjnym brylował Jacek Fedorowicz — zaprezentował m.in. swoje popisowe numery z panem kierownikiem. Jest to postać tępego komucha, który bezlitośnie kaleczy polski język, jest na bakier z gramatyką, stylistyką i — co oczywiste — logicznym myśleniem. Jacek Fedorowicz nie śledzi widocznie różnych dysput telewizyjnych i radiowych, na różnych, niekiedy wysokich szczeblach. Może wówczas te językowe pomyłki i uchybienia nie wydawałyby się tak jednoznacznie adresowane (...).”

Czasopisma publikują coraz więcej wspomnień i dokumentów dotyczących wciąż mało nam znanych — z wiadomych powodów — dziejów polskiej kultury na emigracji. W TWÓRCZOŚCI (nr 11) Edward Krasieński omawia omawia bogatą korespondencję Lechońia z Grydzewskim z lat 1945—1947 i prezentuje 8 listów, informując o zamiarze ogłoszenia wielkiego zespołu korespondencji, jaką w latach 40. i 50. prowadzili pomiędzy sobą Lechoń, Grydzewski i Wierzyński. Listy te znajdują się w archiwach USA i w Anglii. Próbką zamieszczoną w „Twórczości” ukazuje fatalną sytuację psychiczną i materialną emigrantów—intelektualistów w tych najcięższych, pierwszych powojennych latach. O ich nastrojach świadczy choćby wyznanie Lechońia z początku 1947 r.: „Wszystko co Francuzi piszą, jest przerażające (...) Znam tego chuja Sartre’a. Cóż to za guano. A Camus coś za wspaniała kloaka”. Grydzewski odpowiedział: „Podzielał twoje zdanie o Sartre i Camusie”.

PRZEGLĄD TYGODNIOWY (nr 49) poświęca blok trzech tekstów problemowi szkół społecznych. Mamy więc reportaż o społecznej szkole specjalnej dla dzieci szczególnej troski w Warszawie, o społecznej szkole podstawowej w Trójmieście oraz o problemach organizacyjnych Społecznego Tow. Oświatowego, zrzeszającego społeczne licea ogólnokształcące. Wymowa tych relacji nie jest jednoznaczna. Mocną stroną szkół społecznych są: zapaf nauczycieli, nowatorskie założenia programowe, zindywidualizowane traktowanie uczniów, integracja rodziców ze szkołą. Trudności wynikają przede wszystkim z braku pieniędzy (mimo opłat bardzo wysokich jak na przeciętną rodzicielską kieszeń), zaś Społeczne Tow. Oświatowe boryka się z problemami natury organizacyjno-prawnej i z brakiem zgody w podstawowej sprawie kompetencji: centralizacja czy autonomia?

Pogodniejsze w tonie jest wspomnienie Andrzeja Chciuka w TYGODNIKU LITERACKIM (nr 12) mówiące o pracy autora w Sekcji Polskiego Radia

Francuskiego w r. 1948 i o skupionym wokół tej placówki środowisku polskiej inteligencji, m.in. o Zbyszewskim, Łobodowskim i Miłoszu, który wtedy właśnie „wybrał wolność”. Cóż, we wspomnieniach przeszłość rysuje się zwykle pogodniej niż w dokumentach.

Dowodem na powyższe twierdzenie są m.in. wspomnienia Bronisława Kłosowskiego, drukowane w odcinkach w TYGODNIKU PODHALAŃSKIM, a opisujące kilkuletni pobyt w sowieckim łagrze pod Archangielskiem, dokąd autora wywieziono z rodzinnego Zakopanego w 1945 r. Wśród martyrologicznych pamiętników tekst ten jest dość wyjątkowy i zasługuje na uwagę: autor opowiada bowiem, jak dzięki swym uzdolnieniom plastycznym, sprytowi i szczęściu zrobił w obozie swego rodzaju „karierę”, uzyskał status artysty, zaprojektował i zrealizował wnętrze domu kultury w pobliskim mieście, wykonał obrazy dla wszystkich dygnitarzy NKWD, i — choć teoretycznie więzień — żył całkiem nieźle, a nawet dość wesoło. Interesująca lektura, ujmująca autentyzmem, bezpretensjonalizmem i specyficznym humorem.

Nie zważając na sympatie i antypatie niektórych środowisk, pragnę zwrócić uwagę na SUPLEMENT (nr łączny 8—9—10), organ Stowarzyszenia Autorów Polskich w Krakowie. To naprawdę dobrze i żywo redagowane pismo przynosi mnóstwo publicystyki, recenzji oraz informacji dotyczących życia kulturalnego — zwłaszcza literackiego i wydawniczego — Krakowa i kraju. Drukuje również — uwaga! Bardzo ważne! — pełny tekst projektu nowego prawa autorskiego oraz blok pięciu wypowiedzi na temat tego projektu, a także obecnej sytuacji prawnej.

Ponadto: w TYGODNIKU „SOLIDARNOŚĆ” (nr 49) wywiad z Ireną Ratuszyńską, wybitną poetką rosyjską. Oto fragment jej wypowiedzi, urzekający plastycznością: „Wiersze są jak koty. One przychodzą do człowieka, gdy mają na to ochotę. I jakie to są koty — szare czy przegowane, zależy wyłącznie od nich”.

J.L.

Reklamuj się w Dekadzie Literackiej, przyjmujemy ogłoszenia związane z działalnością kulturalną. Zgłoszenia prosimy kierować do Redakcji GK

Przepraszam Panów Leszka Polonego, Andrzeja Nowakowskiego i Bogdana Rogatkę za wyniki błędy techniczne w drugim numerze Dekady Literackiej.

Leszek Orłowski

Leszek Elektorowicz Czy nowomowa zniknęła?

Nie zniknęła. Rozwija się jak nie wypłeniony do końca chwast, którego poskręcane pędy wysuwają się spomiędzy przygniatającego je gruzu. Nowomowa to — według Orwella — język, który „nie tyle przekazuje znaczenie, ile niszczy je”. Posługując się, dodajmy, fałszywym desygnatem. Podobnie jak w Orwellowskiej *newspeak* slogany partyjne brzmiały: „Wojna to pokój”, „wolność to niewola”, typowe tytuły w prasie komunistycznej, np. „O dalszy rozwój...” wskazywały, że raczej o kryzysie będzie mowa. Zdawałoby się, że nowomowa jest zjawiskiem związanym z systemem totalitarnym. Gdy Saddam Hussein mówi o swych zagranicznych „gościach”, wiadomo, że chodzi mu o zakładników, których rozmieszcza w obiektach przewidywanych bombardowań.

Ale nowomowa pełni się jeszcze i u nas. Znajdują się nawet jej obrońcy. Nie tak dawno czytałem w „Tygodniku Powszechnym” rozprawkę na temat wyższości przymiotnika „radziecki” nad „sowiecki”. Ten ostatni, jako rzekomo pejoratywny, miałby być przejawem nacjonalistycznego resentymetu. Nie podobnego! W okresie międzywojennym w ogólnym użyciu był właśnie przymiotnik „sowiecki”. Pisało się o Związku Sowieckim podobnie jak w Anglii, USA czy Niemczech pisze się *Soviet Union*. Bowiem po angielsku „rada” to *council* zaś *soviet* jest świadomym rusycyzmem nie mającym nic wspólnego z angielską czy amerykańską *council*, ani też z naszą „radą” jako organem samorządu. Terminy „radziecki”, „Kraj Rad”, „Związek Rad” czy „Związek Radziecki” wprowadzili komuniści jako zamierzone, z intencją pochlebczą użyte przekłamanie. Rodzaj eufemizmu, ładniej brzmiącego dla polskiego ucha. Jakież tam „Kraj Rad”? Nie rady, ani nawet sowiecy rządzyli, lecz paranoidalny despot, albo despotyczna oligarchia. A zatem — nim i ta nazwa się nie przeterminuje — optuję za „Związkiem Sowieckim” zamiast „Radzieckim”.

Inna kwestia terminologiczna, która przyprawia o irytację. Niemcy przesiedleni z Polski po drugiej wojnie światowej nazywają siebie „wypędzonymi”, a ich stowarzyszenie „Związkiem wypędzonych”. Dlaczego więc np. ja, który straciłem swoje rodzinne miasto Lwów i zostałem wraz z milionami innych przesiedlony, jestem „repatriantem”, a nie „wypędzonym”, jak oni? A czy to — śmy jechali w salonkach, a choćby w przyzwoitych przedziałach? Czy jechaliśmy z całym naszym dobytkiem i godziwą rekompensatą za pozostawione

dobra? Czy raczej stłoczeni w towarowych wagonach, zmuszeni do opuszczenia mieszkań, utraty własnych domów, parcel, ruchomości, które do nas należały? Więc też — wypędzeni? Chyba tak. Ale, aby nie budzić spóźnionych żalów, przyjmijmy określenie „przesiedleńcy”. Zgoda, ale niech dotyczy ono obydwu stron! Z tą drobną różnicą, że to nie my wszczęliśmy wojnę, która zmieniła mapę Europy i w jej wyniku doprowadziła do masowych przemieszczeń ludności.

Nowomowa dotyczy nie tylko semantyki, lecz i gramatyki, co zresztą idzie w parze. Przykładem naszej nowej nowomowy może być wyraz „jakby”, nagminnie nadużywany, a określony przez Słownik Języka Polskiego jako „partykuła osłabiająca znaczenie wyrazu, któremu towarzyszy”. Jakże idealny wehikuł nowomowy „osłabiający”, a więc *de facto* zmieniający znaczenie! „Chcemy jakby powstrzymać te niekorzystne zjawiska”. „Prywatyzacja poprzez jakby rozdanie akcji”. „W wyborach samorządowych wybraliśmy jakby najlepszych naszych przedstawicieli”. Chcemy więc czy nie chcemy powstrzymać? rozdanie czy nie rozdanie akcji? wybraliśmy najlepszych czy nie najlepszych? Partykuła „jakby” pozwala nam uniknąć alternatywy.

Ale nowomowa może mieć też mniej diaboliczne motywy. U jej podstaw stoi czasem niedbalstwo języka albo wręcz ignorancja. Ile to razy słyszy się, także w środkach masowego przekazu o „grze na pianinie”, podczas gdy chodzi oczywiście o grę na fortepianie, choć na jednym i drugim instrumencie gra się tak samo. Może ostatni Konkurs Chopinowski poprawi obyczaj w tym względzie.

Powróćmy jednak do nowomowy o podtekstach politycznych, „grubą kreską” przepłatających się „w tym temacie”. Otóż, jak się rzekło, polega ona często na eufemizmach. Do tej grupy zaliczyć należy tak częste dziś w użyciu słowo „aborcja”, o ileż elegantsze niż „spędzenie płodu” czy „przerwanie ciąży” (które n.b. stanowią też swego rodzaju eufemizmy). Tym razem jest to anglicyzm, od *abortion*. Anglicyzmów dziś zresztą co niemiara, że wymienię tylko dwa: *kompatybilny* czy *relewantny*. Stosowanie ich tłumaczyć można lenistwem słowotwórczym Polaków czy też swoistą *konwergencją* (sic!) języków narodowych, która w miarę technologicznej uniformizacji świata doprowadzi kiedyś, być może, do jednego międzynarodowego *volapiku*. Tymczasem jednak mamy świeże odmiany nowomowy czyniącej język mętnym, o zamazanych czy zaszyfrowanych znaczeniach.

Po co ludziom filmy

Głośne wydarzenie ekranowe

ADAM GARBICZ

STOWARZYSZENIE UMARŁYCH POETÓW osiągnęło nieoczekiwane duże powodzenie już w macierzystych Stanach — jak na to, że jest filmem bez masakr, bez policji, bez pościgów, bez nagości i nawet nie należy ani do komedii, ani do melodramatów, ani do fantazji muzycznych. Znamcom z branży wiadomo: reakcje publiczności są nieprzewidywalne, bo zdarza się, że byle drobiazg, jeden element całości powoduje gromadny entuzjazm, a z drugiej strony bywa, że nie chodzi nawet o ten mały fałszywy ton w strukturze dzieła, który gasi jego żywość, jego urok — tylko po prostu coś ludziom nie odpowiada, coś jest zbyt natrętne, albo rozczarowujące, albo niemile. Myślę, że bardzo znamienne dla reakcji publiczności w dzisiejszej Polsce jest to właśnie, że nie znosi ona filmów niemitych (przy czym powodem niekoniecznie jest to, że rzecz się źle kończy). Wytłumaczenie psychiczne wydaje się być ewidentne: wystarczająco dużo niemilego, rozczarowującego, frustrującego, przynębiającego na co dzień.

Jednakże **STOWARZYSZENIE UMARŁYCH POETÓW** wymyka się takim prostym dyktomom: atrakcyjny—nieatrakcyjny, miły—niemiły. Wcale też nie jest oczywisty ów magnetyczny szczegół, który miałby łatwo tłumaczyć wzięcie u publiczności. Mamy tu opowieść bardzo tradycyjną, może nawet ostentacyjnie odrębną na tle błyskotliwych fabuł współczesnych, tematycznie zaś doprawdy nie chwytliwą: chodzi o paru chłopców z nobliwego gimnazjum Welton na wschodzie Stanów, w Vermoncie, w roku 1959, i o ich trochę dziwnego nauczyciela literatury. W dodatku doprawdy nie wydarza się tu nic sensacyjnego, a nagrodzony „Oscarem” scenariusz Toma Schulmana ma wcale sporo mankamentów dramatycznych w środkowej części, gdzie opowieść jest niespójna, wątki nie rysują się wyraziście i film zachowuje temperaturę tylko dzięki reżyserii jednego z najzdolniejszych dziś dyrygentów ekranowych, 45-letniego Petera Weira, który renomę zyskał w oczystej Australii. To doprawdy ironia, że **STOWARZYSZENIE**, mimo wielu nominacji, otrzymało nagro-

dę Akademii Filmowej zaledwie w tej dziedzinie; nie tylko bowiem Weir, ale także kilku innych współtwórców wniosło większy wkład w tak udany rezultat ostateczny: choćby operator John Seale i wirtuozercko ekspresyjny protagonista — Robin Williams.

Nie ulega wszakże wątpliwości, że to właśnie Schulman, choć użył znanych standardów (repezyjna szkoła, apodyktyczni rodzice, buntująca się młodzież i ich duchowy inspirator), położył fundamenty konstrukcji, tak imponująco wypełnionej potem przez Weira: tajemnicą sukcesu **STOWARZYSZENIA UMARŁYCH POETÓW** jest bowiem temat, poruszający w wielu młodych i starych czułe struny, umożliwiający otwarcie na podteksty, jakie w wytorowanym nastroju uda się poddać. Jedni znajdują tu tęskne wspomnienie o najwyższych emocjach ze szkolnych lat, drudzy — uderzająco wierne odbicie sytuacji i konfliktów, w których właśnie uczestniczą.

Skoro **STOWARZYSZENIE** tak bardzo podobało się już w Ameryce, gdzie przeważa prymitywna publiczność nastawiona na hałaśliwą rozrywkę, to jego triumf europejski i zdobycie rangi przeboju roku u młodej inteligencji Starego Kontynentu nie stanowiło żadnej niespodzianki. Trzeba jednak za nią uważać przyjęcie filmu w Polsce. Panowało bowiem przekonanie, że ongiś tak świetna widownia krajowa jest już do niczego po dziesięciu latach wyjąłowania przez bzdurną rozrywkę, brutalne obrazy przemocy i infantylizm fabuł oraz po wypędzeniu z kin starszych roczników — zarówno przez ten repertuar, jak przez zmęczenie uciążliwością dnia powszedniego. Tymczasem objawienie: opowieść Weira chcą zobaczyć tłumy. I na pewno nie ma w tym zasługi ani szczególnej reklamy, ani ukrytego w filmie atutu osobowego: znakomity odtwórca roli nauczyciela jest właśnie u nas w kraju kompletnie nieznamy, brak tu też innej gwiazdy. Peter Weir? Jeśli w Polsce chodzi się na reżyserów, to na kilku najlepszych. Weir do nich nie należy.

No tak, ale nakręcił **PIKNIK POD WISZĄCĄ SKAŁĄ!**

To prawda. Przed 15 laty, jesz-

cze prawie debiutant, stworzył arcydzieło o bardzo podobnym temacie: represyjny internat, młode dusze i młode ciała wyrwijające się ku wolności i miłości, mądra nauczycielka, która wie więcej od innych... Jest zupełnie oczywiste, że realizacja przypominającego tematem scenariusza musiała Weira bardzo pociągać i że mistrzowskie wprowadzenie w nastrój, pieczołowite zbudowanie czasoprzestrzeni **STOWARZYSZENIA**, to rezultat podjęcia wyzwania, trudnego wyzwania zmierzania się z własną doskonałością.

Ale... ale **PIKNIK POD WISZĄCĄ SKAŁĄ**, dziś jedno z legendarnych dzieł kina, był w czasie swej polskiej premiery, prozę sobie wyobrazić, jedną z większych klęsk frekwencyjnych! Rzeczywiście, stopniowo zdobył rozgłos, zachwycił wielu, którzy ten zachwyt przekazali innym — jednakże w pierwszym roku wyświetlania zajęł, pod względem liczby widzów, 129 miejsce wśród innych wprowadzanych podówczas na ekrany. Nie ma pomyłki: sto dwudzieste dziewięć! Na 65 miejscu wyładowała wtedy czeska rozprawka psychologiczno—feministyczna **GRA O JABŁKO** Chytilovej (trzy razy więcej widzów), na 32 — duńska flapinada **GANG OLSENA WPADA W SZAŁ**, z dziesięciokrotnie większą publicznością, zaś triumfator roku, **KING KONG**, miał amatorów aż 36 razy liczniejszych. Te oszałamiające dane pozwalają, jak mi się wydaje, skutecznie podważyć pewne mity o wspaniałej ongiś publiczności polskiej, równocześnie zaś z większą otuchą pomyśleć o amatorach dzisiejszych.

STOWARZYSZENIE UMARŁYCH POETÓW, jakkolwiek jest tylko bledszym odbiciem tamtego klejnotu kina poezji i tęsknoty do wyzwolenia w harmonii z naturą, podoba się bowiem powszechnie. Powodów tej sympatii nie można szukać gdzie indziej, jak w samym filmie, w umiejętności nawiązania przez Weira porozumienia z tymi, którzy podobnie jak miłi, zdolni chłopcy z Welton przeżywali czy właśnie przeżywają pierwsze samodzielne doświadczenia, inicjacje, sprzeciw wobec narzucanych sztywnych form, poszukiwania własnej drogi, własnej osobowości

i ekspresji uczuciowej.

To jednak, co zjednuje do filmu Schulmana i Weira, a także co jest konsekwencją sytuacji, nie stanowi jeszcze wcale o wymiarze **STOWARZYSZENIA** (bohaterowie szukają dającego się podziwiać autorytetu; znajdują go w osobie byłego absolwenta ich najlepszego w kraju gimnazjum, który został potem nauczycielem angielskiego w Chester School w Londynie; duchowy przewodnik wyrwa co wrażliwszych wychowanków ze stanu chłopięcej naiwności, uświadamiając perspektywę śmierci — co natychmiast nożwała im odczuć głębię egzystencji — a także inspirując do znajdowania sensu bycia i poszerzając horyzonty poprzez uzmysłowienie względności ocen; dewiza „carpe diem” prowadzi jednak do konfliktu z rygorami „tradycji—honoru—dyscypliny—doskonałości” szkoły i kalkulacjami rodziców, co musi się skończyć dramatyczną kulminacją). Przedstawić fabułę można było na dziesięć mniej lub bardziej tradycyjnych sposobów, rzewnie po włosku lub zgoła sowiżdrzalsko, co częste w takich okolicznościach; Weir wybrał daleko idące stonowanie obrazowe, z przemyślnie staroświeckim, statycznym stylem fotografowania, wyciszoną sferą dźwiękową i prawie nieobecną muzyką (choć pisał ją tu sam Maurice Jarre; więcej zresztą, niż jego nut, słyhać Beethovena); równocześnie jednak dał popis błyskotliwego reportażowego stylu opisu wprowadzającego, żwawego i zwartego zawiązania akcji, umiejętności przykucia uwagi, by później ją kierować ku refleksji w majestatycznych niszach milczącego obcowania z naturą. Wszystko to dlatego, by otworzyć w głębi inne jeszcze kwestie, zastanowić nad innymi pytaniami.

Chłopcy z tego filmu nie są bowiem zwykłymi uczniami, choć wspólne im fascynacje wieku szkolnego, choć tak samo poddają się urokom tajemnic i rytuałów; placówka w Welton nie jest zaś zwykłą szkołą. To szkoła elitarna. Dziś niewiele w kraju wie, co to znaczy; ale wiedzą wychowankowie takich gimnazjów, jak Nowodworskiego i Sobieskiego w Krakowie, czy gimnazjum sądeckiego. Dyrektor pozornie słusznie zwraca uwagę

dynamicznemu Keatingowi: w szkole średniej chłopcy mają się nauczyć społecznych rygorów, na eksplozję samodzielności czas przyjdzie na studiach. Niestusne staje się to właśnie dlatego, że ci chłopcy są grupą elitarną: bo rzeczywiście, w szkole normalnej takie postępowanie nauczyciela skończyłoby się anarchicznym rozwaleniem wszelkiego porządku. W tym wieku chce się szaleć, bawić, brać za darmo. Obalać autorytety — owszem, ale nie po to, by budować nowe.

Szczególna grupa młodych ludzi i ich Pegaz (bo przecież Keating jest Pegazem?) wydaje się tu w ogóle być alegorią elity. **STOWARZYSZENIE UMARŁYCH POETÓW** to marzenie o elicie. Bardzo współczesnej elicie; choć rzecz dzieje się przed trzydziestu laty, toczy pod egidą ubiegłowiecznych mistrzów: Whitmana i Thoreau, a sięga myśli Rousseau; bardzo współczesnej, bo takiej, która odnajduje ekologiczne zrozumienie pełni życia w jedności z naturą, która znajduje w sobie echo pierwotnych instynktów, zgubniej, zatraconych we współczesnej cywilizacji (czym Weir zajmował się także w **OSTATNIEJ FALI** i **HYDRAULIKU**) — a to ekologiczne zrozumienie, umiejętność znalezienia czasu i przestrzeni dla refleksji, umiejętność wyłączenia się z dzisiejszego zgiełku cywilizacyjnego są bardzo ważne. Przecież na tym polega życie — tłumaczy chłopcom Keating; na tym polega poezja. A „prawda jest zbyt krótką koldrą”...

I wydaje się wielce prawdopodobne, że jest to instynktownie rozumiane wszędzie, nawet bez świadomości Thoreau i Whitmana, dzięki magii kreacyjnej Weira. Wszędzie, więc także u nas. Może nawet bardziej u nas, bo bardziej potrzebujemy szerokiego oddechu ekologicznego, i chyba bardziej tęsknimy skrycie do zaufania godnej elity i elitarnego przywódcy, spokojną mądrością prowadzącego przez wzburzone fale, jak Kapitan Abraham Lincoln opiewany przez Whitmana. Byłoby prawdziwe to, czego nadzieja kryje się, w podobnym przypuszczeniu?

Oh Captain, my Captain...

Fascynacje lekturą *Mówi WŁADYSŁAW BARTOSZEWSKI pisarz, historyk, ambasador RP w Australii*

Moje pierwsze, najlepsze

...chodzi o te pierwsze lektury poza elementarzem, tak? Gdy byłem dzieckiem, wiedzy w każdym inteligentnym domu było takie duże, albumowe wydane „Pana Tadeusza”, ilustrowane przez Andriollego. Były tam ogromne, całostronicowe szychy. Bardzo mnie to pociągało. Te szychy ukazywały nieznaną świat, stroje jakich nie znałem, szlacheckie kontusze, ubrania Janiela, dziwne dla mnie nakrycia głów. To były takie obrazki z innego świata i oglądałem je z dużym zaciekawieniem.

Moja babka, Józefa Zbieliniecka, była nauczycielką. Widząc moje dziecięce zainteresowanie „Panem Tadeuszem” zaczęła czytać mi na głos całe jego fragmenty. Tak więc moją pierwszą, doskonale zapamiętaną książką wcale nie była książka dla dzieci.

Te pierwsze wrażenia z lektur są zawsze bardzo silne i stał zapewne pozostał mi szczególnie sentyment do Mickiewicza. Oczywiście, potem w szkole czytywałem innych wieszczów, ale do Mickiewicza mam stosunek bardzo osobisty.

Później były normalne lektury dla chłopców, oczywiście przygodowe i podręczne. Świat wówczas poznawało się z książek. Przede wszystkim lubiłem „Chatę wuja Toma” i w ogóle książki, które mówiły o walce o niepodległość. Pamiętam, że taką moją ulubioną książką tego typu był „Kapitan Łamigłowa”, autora nie pamiętam, ale wiem, że była to powieść o walce Burów z Anglikami.

Chodziłem do katolickiego gimnazjum im. Stanisława Kostki a tam bardzo zwracano uwagę na

odpowiednie lektury. Sienkiewicza zacząłem czytać od „Quo Vadis”, nie od „Ogniem i mieczem” czy „Potopu”. W efekcie symbolem kobiecej wspanialości nie była dla mnie Helena Kurcewiczówna lecz Ligia. Zresztą ja wolałem czytać Prusa niż Sienkiewicza. Moją kochaną książką była „Lalka” i sentyment do niej pozostał mi do dziś. Bardzo lubię postać Rzeckiego. Gdy czytałem „Lalkę”, jako chłopiec, ogromnie zazdrościłem Rzeckiemu jego wspomnień z walk o wolność, tej jego powstańczej

przeziłości.

Oczywiście, już od dziecka interesowałem się historią, a zwłaszcza walkami o wolność, poczynając od Insurekcji Kościuszkowskiej. To zainteresowanie od dziecka walkami niepodległościowymi w literaturze tłumaczyłoby sobie tym, że bardzo świeże było wówczas w pamięci odzyskanie niepodległości przez Polskę — przecież to były lata dwudzieste...

A niania w domu zawsze mi powtarzała:

— Bądź grzeczny, bo jak nie, to przyjdzie bolszewik i cię zabierze...

Notował M.Z.

3

Książki Książki Książki Książki Książki Książki Książki

EUGENIA PROKOP—JANIEC CIEMNOŚĆ I STRACH

Żydzi a komunizm. Kwestia od dziesięcioleci daremnie czekająca w Polsce poważnego, bezstronnego rozważenia. Problem uporczywie przemilczany przez „oficjalne czynniki” minionej epoki, mistyfikowany przez opinię publiczną, obrośnięty stereotypami produkowanymi przez potoczną mentalność zawsze selektywną i stronniczą, chętnie uciekającą się do fantastycznych spekulacji czy fałszów. Dla Juliana Strykowskiego problem ów stał się sprawą głęboko osobistą, istotnym węzłem biografii, ważnym tematem literackiej twórczości. Podejmuje go pisarz i w najnowszym tomie prozy, tomie będącym swoistym dwugłosem powieści autobiograficznej (*Wielki strach*: pierwsze krajowe „naziemne” wydanie!) i wspomnień (*To samo, ale inaczej*).

Wątek ideologicznych rozrachunków pojawił się w prozie Strykowskiego już na początku lat sześćdziesiątych, kiedy to w alegorycznej, jak chcieli jedni, z kluczem, jak upierali się inni, kryptoautobiograficznej zaś w istocie powieści *Czarna róża* próbował dokonać rozpoznania duchowej kondycji pokolenia inteligencji, dojrzewającej w atmosferze lat trzydziestych do — komunizmu. Już dziś wiadomo, że tom wydany właśnie przez wydawnictwo „Czytelnik” nie jest ostatnim słowem pisarza na ten temat. Wiele spodziewać się można po *Ocalonym na Wschodzie*, wywiadzie—ręce, mówionej autobiografii Strykowskiego, przygotowywanej do druku przez Piotra Szewca.

Rzecz znamienita: kolejne świadectwa, rozpoznania, diagnozy własnej ideowej przeszłości są u Strykowskiego stopniowym

odrzucając literackich kamuflaży i masek, za jakimi skrywał zrazu osobiste przeżycia. Z biegiem lat metaforyczna transformacja ustępuje miejsca dokumentarnemu zapisowi, logika artystycznej konstrukcji — prawom wspomniania, kryptoautobiograficzna powieść — autobiografii jawnej. Słowem: fikcja daje pierwszeństwo prawdzie subiektywnej. (Wspominający pisarz obiecuje „*prawdę w granicach moich możliwości*”).

Gest odrzucania maski, gest porzucania literatury konstytuuje najnowszą książkę Strykowskiego: powieściowy bohater *Wielkiego strachu*, Artur Salz, „zdemaskowany” zostaje we wspomnieniach jako sobowtór autora... Jego biografia okazuje się aluzją innej biografii: urodzony w asymilującej się żydowskiej rodzinie, Artur zastąpi żarliwy młodzieńczy syjonizm fanatycznym komunizmem, doświadczy typowych „partyjnych” przygód konspiracji i więzienia. Bezrobotny w „sanacyjnej Polsce” nauczyciel historii awansuje w okupowanym przez Rosjan Lwowie na redaktora „Czerwonego Sztandaru” i polskojęzycznej radiowej audycji. Ów bezrobotny zostaje przez autora w jednym z lwowskich zaułków w chwili, gdy „zdjęty wielkim strachem” stara wydostać się z miasta opuszczonego w bezładnym popłochu przez Rosjan. Dalej, w głąb ogarniętych wojennym zamętem Sowieców do Kijowa, Charkowa, Fergany, Taszkentu, Moskwy powędruje już — pisarz we własnej osobie. Kończy się powieść z kluczem (obraz skupionego wokół „Czerwonego Sztandaru” literackiego środowiska Lwowa lat 1939 — 1941, o których wiele już opowiedział w *Moim*

wieku Aleksander Wat), zaczyna — historia ludzi związanych ze Związkiem Patriotów Polskich i moskiewską „Wolną Polską” (portrety Wasilewskiej, Grosza, Borejszy, Bermana).

Ukryte czy jawne, autobiograficzne opowieści Strykowskiego mają pewien wymiar uniwersalny. Zapisane zostały w nich duchowe przygody urodzonego na początku dwudziestego wieku żydowskiego inteligenta, porwanego nurtem dziejów żydowskich, polskich, europejskich. Kluczowym epizodem owych przygód okazuje się doświadczenie totalitaryzmu, zaangażowanie po stronie totalitarnej ideologii... Inaczej niż Mitosz, autor *Wielkiego strachu* dokonuje analizy „zniewolonego umysłu” ze szczególnej — narodowej — perspektywy. Nie posługuje się alegorią: światło skupia na własnej osobie, w pełni świadomy niedostatków wybranej metody. „*Nie jedno zapomniałem, nie jedno pominąłem zajęty przede wszystkim sobą*” — wyznaje otwarcie.

Żyd—komunista przestaje być Żydem twierdzi sam Strykowski, twierdzą jego bohaterowie. (Nietrudno posłyszec w słowach pisarza ton winy, tak wyraźny w głosach wszystkich, którzy odzyskali i utwierdzili swą żydowską tożsamość po traumie Holocaustu...) Odstępca ów niekoniecznie być musi zwykłym renegatem. To najczęściej ktoś, kto ideologiczną opeją rozwiązać chce i prywatnie, i politycznie, i społecznie — kwestię żydowską. Kosmopolityzm zdaje się skutecznym remedium na niewygody żydowskości. Konkurować z nim może wyłącznie kultura narodu oferowany przez syjonizm. Nadzieje i złudzenia asymilacji

zostały już definitywnie pogrzebane... Żydowski inteligent wahać się będzie w wyborze, zmieniać polityczne obozy: syjonista stanie się komunistą, który — rozczarowany — zwróci oczy ku Palestynie.

Tak czy inaczej, żyje tymczasem w Polsce. Polsce antysemitkiej. Antysemityzm jest drugim obok komunizmu „bohaterem” *Wielkiego strachu*. Sceny odrzucenia, ponizania, napaści na Żydów długo by można wliczać: pogrom lwowski u progu niepodległości, ekscesy endeckich bojówek na Uniwersytecie Jana Kazimierza, antysemityczne nastroje w obleganej przez Niemców Warszawie, samosądy wrześnie na Żydach... Być Żydem w takiej Polsce znaczy napotkać „ścianę nienawiści”, stawać oko w oko z „barbarzyńcami spragnionymi ofiary”. W Rosji sowieckiej tymczasem, jak powiadają, nie ma antysemityzmu... Pocięty można szukać, rzecz jasna, i gdzie indziej. Ołśniony polskim słowem żydowski chłopiec schronić się może w nim właśnie: w języku, najwierniejszym refugium.

Wyzwanie rzucone żydowskiemu inteligentowi przez antysemityzm, syjonizm, komunizm dwudziestego wieku odnieść należy koniecznie do szerszego tła, szerszego kontekstu. Bohater ten szuka w świeckich ideologiach nowego źródła porządku i sensu świata, źródła zdolnego zastąpić to, które biło w żydowskiej tradycji, przez niego porzuconej. Doktryny ideologiczne zajmują miejsce opuszczone przez religijne dogmaty. Potrzeba wiary jest jednak przemożna: potrzeba wszelkiej wiary. Może to być wiara narodowa syjonizmu, wiara kosmopolityczna komunizmu. „*Najlepsza młodzież komunistyczna, najlepsi komсомолцы wyszli z szeregow szomru*”. „*Oni byli najszlachetniejsi, oni byli najofiarniejsi, to oni byli najbardziej bezinteresownymi komunistami. Najbardziej rozstrzelani, najwierniejsze ofiary Kremla*”.

Jak to możliwe? „*U Żydów inteligentów wszystko możliwe*” — odpowiada z bolesną ironią Strykowski. Nie znaczy to jednak bynajmniej by się owymi „możliwościami” nie zdumiewał. Rozmyślając nad swą biografią, pyta co krok: jak można pozwolić, by idea wyrugowała z pola widzenia rzeczywistość? Jak po procesach moskiewskich, po terrorze w okupowanym Lwowie można wznosić toast za zdrowie Stalina? Jak po doświadczeniu bezsensu, koszmaru, „wielkiego strachu” totalitarnego systemu głosić jego dobro, ład, słuszność? Skąd nazywanie niewoli — wolnością? Niezłomny fanatyzm? Zaślepienie doktrynera?

Nazwy same niczego nie rozjaśniają. Opowieść Strykowskiego jest w istocie studium niepojętego fenomenu ślepej wiary. Stary, rozczarowany, zgorzkniały, pisarz nie dociera do jej źródeł, do motywów kierujących zapamiętałą w wierze jednostką. Bezradny, szydzi lub bezwzględnie oskarża: „*I ani razu nie przyszło mi do głowy, że jestem przestępcą, że tuczę się na ich nędzy*”.

Groza świata totalitarnego, strach jakim on napawa, rodzą się z tego, iż jest to „*świat bez reguł*”, jak powie jeden z bohaterów Strykowskiego, świat ciemny, szalony, nieprzenikniony dla racjonalnej myśli. Absurdalne bywa tu nazywane rozumnym, nonsensowne — sensem, krzywdą — sprawiedliwością. Ciemny i irracjonalny, totalitaryzm wydobywa z człowieka to, co w nim ciemne i szalone, aktywizuje ludzkie „gorsze ja”. „*Artur wemnie*” powiada pisarz, gdy owo ja dochodzi w nim do głosu.

Dlaczego optymistyczna utopia wydaje na świat królestwo zła? Skąd w tęskniącym za dobrem i sprawiedliwością człowieku niezgłębione pokłady wierności złu? Skąd zło? „*Nie ma odpowiedzi. Tajemnica. Tajku*” — mawiał w takich sytuacjach reb Tojwie z *Głosów w ciemności*. „Tajku” powtarza za nim sam Strykowski.

Julian Strykowski „Wielki strach — To samo ale inaczej”
Czytelnik 1990

IWONA MISIAK

SZARY WIATR

Poezja Ratuszyńskiej jest buntem wymierzonym w Ojczyznę. Poetka odrzuca niezawinione dziedzictwo, próbuje wyzwolić się od „*miazdzącej czułości despotycznych objęć*”. Nie zgadza się na cierpienie ani na duchowe i fizyczne zniewolenie. Myśli, pisze przeciwko.

Świat wylaniający się z jej wierszy jest wizją nieograniczonej, jasnej przestrzeni. To obszar zasnuty szarą mgłą, ziemia, nad którą szaleje biała zamieć. Większość utworów przywołuje obraz zimy. „*A pod śniegami bezdenne dno*”, pisze

Ratuszyńska. Pod równiną bieli jest pustka. Nad Rosją wiruje nieustające requiem zamieci. Anioły nie chronią ludzi — odleciały lub zmarły jak wróble na mrozie.

Wedle cygańskiej wróżby „*wiatr śni się na drodze*”, jest sprzyjaczkiem w podróży. Oznacza wolność, wybór. Jednak może być, jak w tej poezji, destruktozem. Wiatr porusza obłoki, zrzuca liście, porywa Rosję w obłąkany taniec, ruch ku śmierci. Poetka widzi w nim niszczyciela i pomocnika. Wiatr stawia ściany powietrza, a ten groźny obraz przywodzi na myśl ściany, pod którymi rozstrzelano skazańców. O takiej śmierci śni Ratuszyńska, mordercą w jej koszmarze nie jest nikt obcy — to

Irena Ratuszyńska „Mój ty kraju znieawidzony”.
Wybór, przekład, wstęp: Wiktor Woroszyński.
Aneks, Londyn, 1987, s. 68.

kolega ze szkolnej ławki, przyjaciel z dzieciństwa. Wróżba nie jest zabawą ani częścią rozrywką znużonych lecz poszukiwaniem wiedzy, ucieczką przed niebezpieczeństwem, próbą odkrycia przeznaczenia. Jest bezsilnością wobec Losu.

W Rosji „*przyszłość czeka z odsłoniętą twarzą*”. Jest katem, który ściągnął czerwony kaptur z głowy. Doświadczenie czasu jest różne. Ratuszyńska przebywa w niekończącym się Teraz, a poczucie osamotnienia, zagrożenia doprowadza ją do rozpacz. Poetka jest jednym z tych ludzi, którzy przekraczają bezpieczną odległość, dzielącą od strachu i śmierci.

W tej poezji woda symbolizuje powrót. Ratuszyńska odbywa w marzeniach podróż do rodzinnej Odessy. Będąc skazaną na teraźniejszość, wyprzedza obszary przyszłości, aby w czasie przeszłym myśleć o spokojnym powrocie do swojego miasta, „*tam, gdzie kurz, zaułki, ciepły wieczór i pamięć*”. Rosyjska poetka (a wcześniej Czadajew) sądzi, że jej Ojczyzna nie ma przeszłości ani przyszłości, jest „*przybyszem znikąd*”, „*haribą nocy*”. Dołącza do licznego grona tych, którzy niezastępowanie odpokutowali za swe wolne słowa.

Niektóre wiersze brzmią jak modlitwy, inne są krzykiem rozpacz. Nielatwo walczyć o sprawiedliwość, wolność, prawdę. Nie poma-

ga wskazanie na dziejącą się wokół krzywdę, nie uwalniamy się od zła, składając ofiarę. W poezji Ratuszyńskiej mało jest marzeń i prężyć odzyskania utraconego dobra. „*Zbrodnie płaskie są jak sny, płaskie z obu stron. Od strony kata i od strony ofiary*” (Simone Weil).

Po przeczytaniu tomiku uderza podobieństwo ze stylem Cwietajewej. Ten sam pośpiech, bezkompromisowość, ekspresja, przypomnienie polskich przodków. Ratuszyńska jak jej wielka poprzedniczka idzie drogą między dwoma słowami: „*nienawidzę*” i „*kocham*”.

JERZY LOHMAN

Nie kupujcie dzieciom!

W księgarniach pojawiła się jedna z najbrzydlivszych moralnie książek, jakie napisano w ostatnich dwustu latach. Fakt wart uwagi tych nawet, których wrażliwość przytępiły doświadczenia XX wieku. Zresztą niezaważenie książce raczej nie grozi: jestem pewien, że wielu powita ją ze szczerą radością i wzruszeniem, jako echo odległego dzieciństwa.

Jest to bowiem książka dla młodzieży. Napisał ją niejaki Robert Montgomery Bird, żyjący w I poł. XIX wieku. apologeta podboju Ameryki Płn. i eksterminacji Indian, do których żywił obsesyjną nienawiść. Egzotyka i awanturnicza fabuła zapewniły „Duchowi puszcy” (taki tytuł nosi utwór)

olbrzymie powodzenie na całym świecie. W języku polskim w latach 1872—1947 ukazało się kilkanaście wydań, które „wg. dra M. Birda opracował L. Anczyk”.

Akcja „Ducha puszcy” rozgrywa się w latach 70. XVIII w. nad Missisipi. Dzielni biali z powodzeniem tępią czerwonoskórych i zagarniają ich tereny. Indianie, przedstawieni zresztą jako demony zła, czelakopodobne bestie, których zabijanie jest rzeczą konieczną i chwalebna, odpłacają białym jak potrafią. Wśród panoramy nieustannych mordów i okrucieństw przewija się makabryczny leitmotiv — odnajdywane wciąż w lasach trupy Indian z rozwalonymi toporem głowami i z krzyżem (sic!)

wyrzniętym głęboko na piersiach. Sprawca tych bohaterkich i aplaudowanych przez „białych” czynów pozostaje nieznany. W ogólnym krwawym zamęcie płacze się bezsensownie pobożny kwakier, postać otoczona powszechną pogardą, nawet nienawiścią słuszną należą osobnikowi, który tłumacząc się zasadami swej religii nigdy nie zabił żadnego Indianina, ani nawet nigdy nie dotknął broni. I otóż w końcu okazuje się, że to właśnie ten świętoszek jest owym tajemniczym Duchem Puszcy, który mszcząc jakieś krzywdy morduje na kopy samotnych dzikich i wyrzyna im krwawe krzyże.

Zawarta w tej książce liczba moralnych horrorów (recte grze-

chów) przedstawionych jako cnoty bije nawet utwory sowieckich socrealistów z lat stalinowskich oraz prace panów Adolfa Hitlera i Alfreda Rosenberga. Eksterminacja, skrytobójstwo, perfidia, obłuda, podstęp, bluźnierstwo (te krwawe krzyże!) przez dziesięciolecia funkcjonowały w dziele mr. Birda jako pozytywne wzorce dla białej młodzieży, wychowywały pokolenia kolonistów i twardych mężczyzn, utrwalały mit białego człowieka. „Duch puszcy” kompromituje anglosaską moralność XIX w. bardziej, niż całe piśmiennictwo antykolonialne, z Marksem na dodatek.

Po r. 1947 „Ducha puszcy” jako apologii kolonializmu nie wznawiano w Polsce. Przyznać należy, iż był to jeden z tych (nie tak znów całkiem nielicznych) konkretnych przypadków, kiedy elas-

tyczne pryncypia jedynie słusznej doktryny zgadzały się z zasadami moralności chrześcijańskiej i z naturalnym poczuciem sprawiedliwości. Zatriumfowały też oczywiście względy wychowawcze: nie wolno prezentować młodzieży perfidnej zbrodni jako cnoty.

Jest rok 1990. „Pierzchył dziejów mroki”, w przyspieszonym tempie wracamy, może nie tylko do Europy, ale do przeszłości. Można publikować wszystko, jest hard porno, są *Protokoły Mędrców Syjonu*, „Mit XX wieku” norymberskiego wisielca Rosenberga też pewnie by wydano, ale strasznie nudny... Rozumiem, koszty wolności.

Ale wolno też i trzeba mówić: uważajcie, młodzieży oferuje się książkę zbrodniczą. Nie kupujcie jej swoim dzieciom.

„Ducha puszcy” wydała „Oficina Cracovia” 1990 r.

JOHN BARRON KGB DZISIAJ;

Ukryta ręka /III/

Oto ciąg dalszy nie znanej w Polsce książki J. Barrona o KGB, przygotowywanej do druku w Wydawnictwie Literackim. Tłumaczami są Barbara Sławomirska i Andrzej Nowak. Ta autentyczna historia przewyższa sensacyjnością najlepsze fikcyjne dokonania mistrzów sensacji, takich jak Forsyth czy Ludlum.

Streszczenie poprzednich odcinków: do ambasady USA w Tokio zgłasza się Stanisław Lewczenko, oficjalnie tokijski korespondent radzieckiego pisma „Nowe Czasy”, faktycznie major KGB. Prosi o udzielenie azylu. Ambasada sprawdza jego tożsamość i próbuje znaleźć sposób wywiezienia go z Japonii do USA. Lewczenko i jego amerykański opiekun znajdują się na lotnisku w Tokio...

Gdy już Lewczenko, Robert i około dwudziestu Japończyków przecinali płytę lotniska i wspinali się na pokład samolotu numer 747 linii Panam, jeden z oficerów Prefektury dopytywał go usilnie: — Bardzo pana proszę, niech nam pan przynajmniej powie jedną rzecz. Który z oficerów KGB prowadzi całokształt działań przeciwko Japonii? Kogo Japonia winna się najbardziej wystrzeżać?

Już przed wejściem na pokład Lewczenko zatrzymał się i, robiąc ostentacyjnie tajemniczą minę, stwierdził: — Pronnikow. Ku jego konsternacji i rozbawieniu innych pasażerów Japończyk wylewnie ucałował go w policzek. I kiedy już Lewczenko zdążył wejść do środka, tamten wciąż jeszcze chciał się upewnić: — Pronnikow, nieprawdaż?

— Tak, Pronnikow. Władimir Pronnikow.

Właśnie w tej samej chwili z trzech nieprawidłowo zaparkowanych samochodów wysypała się grupa Rosjan, którzy wpadli na teren lotniska prze-

szukując wszystkie zakamarki. Grupa rosnących amerykańskich „biznesmenów” natomiast, która od ponad dwóch godzin kręciła się koło wyjścia międzynarodowego, usunęła się z terenu dworca lotniczego. Ich zadanie było skończone. Ludzie z Rezydencji zjawili się o kilka minut za późno, kiedy samolot Lewczenki oderwał się od pasa startowego i zmierzał do Los Angeles.

Cały majątek Lewczenki składał się teraz z ubrania, jakie miał na sobie, około trzydziestu dolarów w jenach i studolatorowego banknotu, który jeden z Amerykanów wsunął mu do ręki na drobne wydatki tuż przed startem w Tokio. Lecz już pierwszego dnia w Wirginii oświadczył, że nie przyjmie od CIA czy żadnej innej agencji rządowej USA ani grosza. Rozumiał, że w zamian za azyl i aby udowodnić swoją dobrą wolę, musi odpowiedzieć zgodnie z prawdą na wszystkie pytania dotyczące jego życia, kariery i motywów podjętej decyzji. Pojmował także, iż odpowiadając będzie

musiał wyjawić szereg tajemnic KGB, sam więc chętnie opowiadał o Pronnikowie. Jednakże nie chciał zdradzać nikogo z porządku oficerów, których poznał w trakcie pracy, ani żadnego z agentów Rezydencji Tokijskiej, gdyż czuł się względem nich do lojalności. Zażądał oficjalnej obietnicy CIA, że uzyskanych od niego informacji nie wykorzysta nigdy na szkodę jednostki. W końcu poprosił, by pozwolono mu odbyć spowiedź przed duchownym Prawosławnego Kościoła Rosyjskiego. Gdyby CIA nie przystała na te warunki, wówczas zamierzał zgłosić się do ONZ, wyjaśnić swój status i poprosić o umieszczenie go w jakimkolwiek niekomunistycznym kraju świata.

Oficerowie CIA, którzy rozmawiali z nim podczas pierwszych dni pobytu w Wirginii, twierdzili, że jego stanowisko — w świetle głoszonej nienawiści do KGB i systemu sowieckiego — jest naiwne i pełne logicznych sprzeczności. Przy tym jednak wierzyli, że mówi zupełnie szczerze. Psychiatra CIA, a także inny, ze ściśle tajnej służby, scharakteryzowali go jako bardzo inteligentnego, choć skołatane go nerwowo człowieka. Oficerowie prowadzący tę sprawę, których Lewczenko znał tylko jako Roba i pana Binnsa, widzieli w nim chrześcijanina, okaleczonego duehowo wskutek całych lat spędzonych w prawdziwym piekle. Uważali, że jakkolwiek ślad przymusu wywołałby w nim nieobliczalny w swych skutkach odruch buntu. Stwierdzili też, że nigdy też nie można będzie liczyć na jego współpracę, jeśli — po namyśle — nie zaproponuje jej dobrowolnie. Toteż CIA zgodziła się na stawiane przezeń warunki, a Binns oświadczył mu wprost: — Proszę nam mówić tylko tyle, na ile zezwala panu sumienie. Nie żądamy nic więcej.

Wkrótce pojawiły się także problemy natury praktycznej. Lewczenko poprosił, by odwołano obstawę pilnującą jego mieszkania w Wirginii, gdyż czuł się jak więzień. CIA, na próbę, uczyniła zadość tej prośbie.

Pozostała zatem sprawa nakłonięcia go, by przyjął pieniądze. CIA mogła zapewnić mu mieszkanie, żywność, napoje, książki, gazety, płyty i drobniaczki codziennego użytku. Ale bez pieniędzy był naprawdę więźniem, co odbijało się na jego psychice. Rob powiedział mu, że rząd USA zazwyczaj płaci niezależnym konsultantom dzienne honorarium w granicach 50—250 dolarów. Ponieważ Lewczenko w istocie pracował jako konsultant, czyż zatem nie mógł przyjąć podobnej zapłaty? W końcu Lewczenko zgodził się przyjąć po pięćdziesiąt dolarów dziennie, ilekroć tylko przyszło mu rozmawiać z funkcjonariuszami CIA. Otrzymałszy swoje pierwsze 250 dolarów wręczył 100 Robowi i polecił, by odesłano je Amerykaninowi, który podsunął mu studolatorowy banknot w Tokio.

Początkowo odrzucał radzieckie żądania osobistej konfrontacji w Waszyngtonie. Do diabła z nimi; nie chciał już nigdy więcej oglądać nikogo z KGB, a CIA zapewniała go, że może odmówić. Jednakże ambasador Dobrinin przedstawił to żądanie sekretarzowi stanu Vance'owi i napomknął, że jeśli Departament Stanu nie pokaże im Lewczenki, uda się ze swą prośbą wprost do prezydenta Cartera. Jedyne po to, aby nie stawiać Amerykanów w trudnej sytuacji, Lewczenko zgodził się niechętnie na konfrontację z Rosjanami.

Zamiast któregoś z klasycznych oficerów operacyjnych KGB wysłało na to spotkanie układowego pułkownika Aleksandra Biezmiernika, doradcę ambasady radzieckiej. Rezygnując z wszelkich gróźb i prób zastraszenia, skoncentrował się on na sugestjach, aby Lewczenko dał mu do zrozumienia, jak wiele tajnych informacji zdążył już wyjawić CIA. A CIA nadał ostrożnie weryfikowała w tym czasie materiały z rozmów z Lewczenką, nie przystępując jednak do żadnej konkretnej akcji. Toteż ludzie z KGB w Tokio, którzy zawiesili wszystkie swoje operacje, czekając, co

się wydarzy, mogli się w końcu przekonać, iż nie szczególnego się nie dzieje.

Ogólnie rzecz biorąc, Lewczenko oświadczył wysłannikowi KGB, że uciekł z powodów osobistych i że jego decyzja jest nieodwołalna, ale też nie zamierza się angażować w żadną działalność o charakterze antyradzieckim. Z rozmowy tej KGB zdołało wynioskować, że Lewczenko zdradził względnie niewiele.

Do połowy grudnia 1979 roku przekazał CIA wszystko, co zamierzał powiedzieć, i teraz pragnął rozpocząć poszukiwanie jakiejś pracy. I tu wywiadowcza historia majora Stanisława Aleksandrowicza Lewczenki mogłaby się już właściwie zakończyć, gdyby KGB nie uciekło się do swych starych, wypróbowanych sposobów działania.

Lewczenko postanowił uciec, gdyż zdawał sobie sprawę, iż pozostanie w KGB zagraża mu całkowitą ruiną psychiczną i moralną. Nie mógł już przydać się na nic żonie ani synowi, gdyż jego śmierć albo uwięzienie nie przyniosłyby im żadnej korzyści, co najwyższej szkodę. Cały czas starał się trzymać żonę na uboczu swych planów, nie dzieląc się z nią swymi przemyśleniami. Wiedział bowiem, że jej macierzyńskie i rodzinne instynkty są tak silne, że nigdy nie opuściłaby Związku Radzieckiego, nie porzuciła dziecka ani krewnych. Gdyby też w trakcie intensywnych przesłuchań, którym została poddana po jego ucieczce, zeznała z całym przekonaniem, że nigdy nie podejrzewała go o podobne zamiary, mogłaby mieć szansę ratunku. Lewczenko nie miał złudzeń co do tego, że pierwsze miesiące nie będą dla niej łatwe. Wydawało mu się jednak, że z chwilą, gdy KGB uzyska pewność, iż nie wiedziała o jego zamiarach i nie uczestniczyła w tym ideologicznym bunie, zostawi ją w spokoju. W końcu przecież epoka stalinowska należała już do przeszłości. Teraz — przynajmniej na papierze — istniały prawa zabraniające karami krewnych za winy ich bliskich.

(Ciąg dalszy za tydzień)

W POSZUKIWANIU EUROPY

Maria Delaperriere

ciąg dalszy ze str. 1

W ten sposób nawiązujące do tradycji przodków rytuały stają się wyrazem mitycznej walki z czasem współczesnym „pociętym, rozbitym, zdeterminowanym i przyspieszonym”, czasem, który warunkuje każdy gest życia społecznego i relacji międzyludzkich. I tu należałoby szukać jednej z podstawowych różnic między Europą Wschodnią i Zachodnią. Europa Wschodnia żyje w innym wymiarze czasu, co niekoniecznie musi być rozumiane jako synonim ewolucyjnego zapóźnienia. Czas Europy Wschodniej to czas ciągły, ponieważ odwołuje się wyraźniej niż zachodni do pamięci zbiorowej, ciągle odświeżanej dzięki przekazom z pokolenia na pokolenie tradycji i rytuałów rodzinnych. W narodach bowiem pozbawionych makrostruktury państwowej tożsamość narodowa czy etniczna znajduje ostoję właśnie w rodzinie. Pisał już o tym bardzo ciekawie Jan Prokop, uwydatniając nie tylko pozytywne ale i negatywne konsekwencje tradycji „domu otwartego”, prowadzącej do specyficznej polskiej swojskości czy nawet do stadności, które przeniesione na teren literacki znajdują kolejne odpowiedniki w *Panu Tadeuszu* i — *Rodzinie Polanieckich*.

„Wieczne dziecko”

Powroty do tradycji patriarchalnych mają jeszcze konsekwencje. Łączą się one z poczuciem wierności wobec tradycji ojców, a co za tym idzie, pewnego posłuszeństwa. Warto przypomnieć, że w polskiej literaturze współczesnej pojawia się często topos „wiecznego dziecka”. Może on się odnosić do konkretnego wspomnienia dzieciństwa, ale może też mieć konotacje szersze i odwoływać się do dzieciństwa cywilizacji. W obu wypadkach postać dziecka zabezpieczona jest z góry przez tradycję przodków, którym należy się szacunek i wierność. Przyczynia się to do swoistej niedojrzałości, która inspirowała, jak wiadomo, najciekawiej Gombrowicza, choć w gruncie rzeczy sięga poza jednostkową mitologię i wyraża ogólny stan cywilizacyjny, który poprzedza wejście w wiek dojrzały. Przychodzi tu na myśl słynna formuła Kanta o wyjściu z niedojrzałości, spowodowanym przez racjonalizm oświeceniowy. Odnosi się ona oczywiście do rzeczywistości zachodniej, gdzie dojrzałość jest synonimem indywidualnej odpowiedzialności, ale i zarazem utraconej niewinności (o której pisał Rousseau).

W Polsce natomiast do tak wyraźnego odcięcia od dzieciństwa nigdy właściwie nie dochodzi. Jeszcze raz sięgnę do szkicu J. Prokopa, który bardzo trafnie uchwycił różnice w stosunku do cywilizacji zachodniej, które odzwierciedlają się w relacjach między ojcem i synem. W zachodnich strukturach rodzinnych ojciec jako głowa rodziny „wspiera swoim autorytetem głowę państwa i na odwrót, z autorytetu władzy państwowej czerpie potwierdzenie swej władzy ojcowskiej”. W Polsce natomiast, żyjącej w stanie zagrożenia, kompleks Edypa będzie ciągle neutralizowany, ponieważ autorytet ojcowski i domowe ognisko pełni rolę ostoi dla osobowości kształtującej się wśród wspólnoty.

Toteż można by zaryzykować twierdzenie, że literatura polska, a może w ogóle wschodnioeuropejska, przejawia tendencje do odwrócenia mitu utraconej niewinności, ściślej, o ile na Zachodzie moment wejścia w dojrzałość jest synonimem brutalnego wejścia w wiek świadomy i oderwania się od idylli rodzinnej, w tradycji polskiej samo dziecko o niewinnej naturze nie ma jeszcze żadnych zasług. Takie przekonanie ilustrują zarówno pokutujące dziecięce duszyczki z *Dziadów* (są one niewinne bo nieświadome, ale tym samym nie zasługują na niebo), jak i monstrualne dziecko „przez piaka przyniesione” Kijowskiego: dopiero inicjacja i przyswojenie pamięci przodków nauczy je miłości i mądrości.

Dziecko wschodnioeuropejskie jest świadkiem wszystkiego, toteż nie je nie zdziwi. Oswaja się ono stopniowo z własną przestrzenią rodzinną, gdzie przyroda odgrywa rolę wybitną, ułatwiając kontakt z tradycją przodków.

Znamy tego typu inicjację z *Doliny Issy*, która jest najwybitniejszym ich przykładem, ale pojawiają się one również na przykład w *Strefach* Kuśniewicza, gdzie połów ryb w Stryju ułatwia zapoznanie się z tajemnicą narodzin i śmierci. Młody narrator, podziwiający piękno rwącej rzeki, staje się do spółki z księżycem mimowolnym i zafascynowanym świadkiem ablucji matki, która każdego miesiąca zabarwia czerwienią spienione wody potoku. Do wiecznego cyklu przyrody nawiąże także Kuśniewicz w *Lekcji martwego języka*: tym razem konający porucznik Kiekeritz utożsamiony będzie przez Cygankę z ogromnym drzewem co kojarzy się oczywiście z biblijnym drzewem Jessego, a także z bujną przyrodą cmentarzy Europy Wschodniej. Podobnie Tomasz z *Doliny Issy* w momencie opuszczania Litwy zachowa w pamięci przede wszystkim ogromne dęby cmentarne, pod którymi spoczywa babka Dylbinowa, Baltazar i Magdalena.

„Religijność i magiczność”

W tych patriarchalnych obrazach przyroda posiada jeszcze swój sens sakralny, przekazywany w inicjacjach rytuałach. Charakterystyczną scenę przedstawia także Vincenz w *Wysokiej poloninie*, kiedy to mały wiejski chłopiec zadreżca matkę pytaniami na temat tajemnicy śmierci i skandalu cierpienia Chrystusowego. Matka opóźnia odpowiedź do dnia pogańskiego święta wspólnoty, to znaczy do momentu, kiedy dziecko przyjęte przez zbiorowość zostanie wtajemniczone w wymiar sakralny prawdy.

Religijność i magiczność funkcjonują w polskiej wyobraźni nierozdzielnie, przybierają kształt materialny świat i tradycji, łączą się z krajobrazem rodzimym, w którym charakterystyczne dla Europy Wschodniej świętki przyrodne ewokują bezustannie transcendencję. Tymczasem we współczesnej antropologii zachodniej różni się wyraźnie z jednej strony *sacrum* pochodzenia pogańskiego, przeciwstawiające siły dobra i zła istniejące, konkretne w naturze — i tradycję chrześcijańską, w której z kolei oddziela się Boga od przedmiotu kultu, zastępując pojęcie *sacrum* pojęciem świętości. Świętość emanuje z Boga, podczas gdy *sacrum* jest wartością ziemską. Tutaj można się dopatrzeć następnego kryterium rozróżniającego wyobraźnię religijną zachodnią od wschodnioeuropejskiej. Z braku miejsca zaznacze

tylko, że w literaturze polskiej poczucie wartości sakralnych jest wyjątkowo silne, choć jest ono niezależne od wiary religijnej, jeśli przyjąć, że rytuał może istnieć bez Boga, ale nie może istnieć bez wierzeń. Przypomina o tym znamienne Kuśniewicz:

„Te różne Wigilie i Wielkie Piątki, roraty i majowe nabożeństwa, choinki i Zielone Świątki, Boże Ciało i procesje. Od tego nie należy odchodzić za żadną cenę, by nie stoczyć się na poziom jakiegoś mieszczańskiego—socjalistycznego, czy jak tam antykalizmu, ateizmu i tak dalej”.

Jedno z najważniejszych dzieł Kołakowskiego nosi znamienity tytuł nawiązujący do słynnego pytania, które dręczyło Dostojewskiego: „Jeśli Boga nie ma?” i które rzuca adresata w zawrotny wir eschatologii immanentnej: „wszystko wtedy dozwolone”. Tutaj dochodzimy chyba do istoty polskiej mentalności i jej powiązań z Europą duchową, a zarazem rysuje się jeszcze jedna ważna różnica oddzielająca ją od współczesnej mentalności zachodniej.

„Sacrum i zło”

Uwrażliwienie na *sacrum* jest, jak wiadomo, bezpośrednio związane z uwrażliwieniem na zło. *Sacrum* pojawia się wtedy, gdy istnieje *tabu* (to znaczy zrytualizowany podział na dobro i zło, jako pojęcia przekazywane w tradycjach wspólnoty). Pojęcie zła zajmowało w tradycji polskiej zawsze wiele miejsca, ale nie przeszło tej samej, co na Zachodzie ewolucji. Od romantyzmu w Europie Zachodniej rodzi się archetyp „zła faustycznego”. Związany on jest z mitem paktu diabelskiego, który wyraża wolę przekroczenia *tabu* i przyswajania wiadomości zakazanych. Do najciekawszych przykładów literackich „zła faustycznego” należy oczywiście *Faust* Goethego lub *Zakonnik* Lewisa. Ilustrują one pojedynkę indywidualny człowieka z Bogiem, który zostanie jeszcze dobitniej sprecyzowany w filozofii nietscheańskiej, a następnie u Jaspersa, który za Nietzschem uwydatnia opozycję między fatalizmem greckim a chrześcijańskim dramatycznym dążeniem do racjonalnego poznania Absolutu:

„O ile Grecy stworzyli podwaliny wiedzy, obca im była wiedza uniwersalna, to znaczy brakowało im bodźców duchowych i impulsów moralnych. Przeciwnie, chrześcijanin potrafił posunąć naprzód naukę dzięki swojemu chrześcijaństwu a później przeciw niemu (...)”

Wiedza staje się więc sprawdzianem istnienia Boga. Sama koncepcja chrześcijańska dążenia do absolutu wyzwała pragnienie poznania racjonalnego transcendencji, realizującego się przez poznanie świata. Dążenie to pozbawione sakralnego zaplecza doprowadzi, jak wiemy, do śmierci Boga. Toteż w jednym z ostatnich wariantów tematu faustycznego, którym jest *Dr Faustus* Manna, diabeł nie spotyka już swego boskiego partnera, mit ulega anulacji i pojęcie zła roztapia się w neutralności *profanum*. Pisząc *Doktora Faustusa* w pierwszych latach po wojnie Mann wyznaczał schyłek Europy sakralnej (do której już w 1937 roku kierował swe ostrzeżenia).

Inaczej w tradycji polskiej, gdzie zło jest rozumiane jako cząstka inherentna określonej geograficznej przestrzeni (pisał już o tym Miłosz definiując za Brzozowskim zjawisko polonocentryzmu). Zło zostało tu w pewnym stopniu skodyfikowane przez tradycje wspólnoty rozwijające się w klimacie cierpienia narodowego. Były one obojętne na zło faustyczne, uwydatniając raczej zło historyczne przeżywane zbiorowo, co doprowadziło do ukształtowania się, jak to trafnie określiła Marta Wyka, „sekretnego kodu polskości”, który umocnił uczucia narodowe, ale tym samym przyczynił się do odizolowania Polski od Europy...

„Droga do Europy”

Tych wszystkich rozbieżności nie można pominąć w momencie, gdy Polska zwraca się ku Europie. W jaki sposób powstanie symbioza tego, co „narodowe” i „europejskie”? W mentalności polskiej musi się najpierw dokonać proces *samo-poznania* (podkreślał to już Norwid), w którym wyobraźnia sakralna pozostanie źródłem samoobrony przeciw cywilizacyjnemu rozczarowaniu, ale równocześnie wyostrzy się świadomość niebezpieczeństwa, która zagraża każdej wspólnotie etnicznej, funkcjonującej w oparciu o rytuałny kodeks etyczny. Z natury rzeczy kodeks ten implikuje ubezwłasnowolnienie indywidualne i brak dialogu, co grozi nietolerancją i ksenofobią.

Wiedzą o tym dobrze polscy Europejczycy, Miłosz i Herbert (wiedzieli także Gombrowicz i Vincenz). Przypominają oni dzisiaj zdumionemu Zachodowi o istnieniu zła transcendentnego, nie zapominając jednak o odpowiedzialności indywidualnej, spełniającej się w egzystencji jednostkowej. Zło wiąże się tutaj najczęściej z cierpieniem (Herbert), przewagą formy (Gombrowicz), przerostem wiary w możliwości człowieka (Wat). W swych powrotach do tradycji sakralnej Vincenz kładzie nacisk na charakter indywidualnej drogi, która prowadzi do wspólnoty. Podobnie Gombrowicz w wizji „kościola horyzontalnego” uwydatnia relacje osobiste, które kształtują człowieka jako osobę. Miłosz z kolei przydaje swemu Tomaszowi świadomość indywidualną, choć zanurzoną w tradycjach zbiorowych: diabły znad Issy pomogą w przyszłości Miłoszowi z *Rodzinnej Europy* stawić czoła cywilizacji rozbitego świata współczesnego.

Tutaj otwiera się droga Polski do Europy. Podążali nią dotąd przede wszystkim pisarze emigracyjni, ale jej kręte odgałęzienia nieobce są i pisarzom krajowym. Prowadzą one najczęściej przez terytoria wspólnot wieloetnicznych, wielkiej szkoły ekumenizmu, w której powroty w przeszłość korygują zasadniczo sienkiewiczowską mitologię. Tak się dzieje u Konwickiego, Buczkowskiego, Kuśniewicza dręczonych pytaniami o koegzystencję Polaków, Żydów i Ukraińców. Z kolei Rynkiewicz w swoich *Rozmowach* z odwagą zrelatywizuje przestrzeń historyczną i pisząc o groźbie unicestwienia Polaków wspomni o unicestwionym wcześniej plemieniu Jadźwiniągów, którego mordercami byli może sami Polacy. Natomiast w *Umschlagplatz* narrator szuka rozpaczliwie śladów getta, wyznając swą odpowiedzialność za zagładę Żydów (zrobił to już wcześniej Miłosz w wierszu *Biedny chrześcijanin patrzy na getto*).

Nie chodzi tu jedynie o współczucie wzmocnione świadomością chrześcijańską. Nowy aspekt pojawiający się u Kuśniewicza, Rynkiewicza a także Paźniewskiego czy Szczypiorskiego to usytuowanie człowieka w jego przestrzeni kulturowej w imię wspólnych korzeni. Stąd dążenie do literatury otwartej, w której ironia, dystans i dialog uwrażliwiają na pluralizm sensów, kultur i tradycji. Tu dochodzimy do najgłębiej związanego z kulturą europejską pojęcia uniwersalizmu.

Maria Delaperriere

Józef Wróbel Adolfowi Rudnickiemu „maleńka świeczka pamięci”

15 listopada 1990 roku zmarł w Warszawie Adolf Rudnicki. Był pisarzem, który w ciągu 60 lat swojej twórczości stale poszukiwał własnego tonu: od prozy psychologicznej i reportażowej do esejów i skondensowanych parabolicznych opowieści. Przede wszystkim jednak stał się piewą zamordowanego narodu żydowskiego i ten temat zrosł się z nim tak bardzo, że to co nastąpiło później w jego twórczości, było przez krytykę słabo zauważane i najczęściej źle odczytywane. Aby go zrozumieć trzeba było bowiem zmienić perspektywę opisu z realistycznej na metafizyczną i szukać źródeł tajemniczej, wielowymiarowej, symbolicznej prozy w głębiach tradycji żydowskiej w Biblii, Talmudzie, w chasydzkim folklorze, które ten wychowanek galicyjskiego chederu zespolił z językiem polskim.

Debiutował (współ z takimi pisarzami jak Gombrowicz, Schulz, Choromański) powieścią *Szczyry* /1932/ wyrastającą z inspiracji psychoanalizy Freuda, ukazującą zainteresowanie snem, podświadomością, psychiką człowieka słabego, zagubionego, osamotnionego i osaczonego złem, dającą się także odczytać jako wyraz światopoglądu pokolenia tragicznego, pokolenia 1910, nad którym zawisła groźba apokalipsy.

W centrum przedwojennego okresu twórczości Rudnickiego staje człowiek; pisarz dąży do ukazania maksymalnie uniwersalnej wizji człowieczeństwa, dlatego

rezygnuje z oddania specyfiki środowiska żydowskiego, z którego się wywodził i które najlepiej znał. Podobnie postąpił w *Niekochanej* /1937/, subtelnej analizie nieodwzajemnionej miłości, uczucia ukazanego w stanie czystym, wyreparowanego z jakichkolwiek pozaemocjonalnych uwarunkowań. Psychika wrażliwej, kochającej kobiety stanie się przedmiotem zadziwiających intuicji interpretacji w całej jego późniejszej twórczości.

W tym samym czasie od analiz psychologicznych przechodzi ku socjologicznym w reportażowych *Żołnierzach* /1933/ i *Doświadczeniach* /1939/, które przynoszą obraz wojska wraz z jego mechanizmami niszczącymi ludzką indywidualność. Najbliżej swojego wielkiego tematu stanie w *Lecie* /1938/, pozornie reportażu z wakacyjnego Kazimierza i pielgrzymki do cadyka w Górce Kalwarii. W istocie jest to proroczy obraz żydostwa zamykającego się w swojej odrębności społecznej wobec poczucia zagrożenia. Surowo osądził ten dorobek sam autor w powojennej już Kartce znalezionej pod murem straceń:

„Wojna postarzała to, co napisałem o tysiąc lat. Czytam siebie pelen zdumienia. Czytam w złości i dezaprobatie. Czytam i nie poznaję. [...] Od moich książek bije duszność papierów, porzuconych na strychach. Wojna już je spaliła, choć nie tknęła ich materialnego kształtu. Refleks wielkich pożarów

odebrał czytelność stron, zmniejszał je jak pocisk wiązania mostu”.

Zagłada narodu żydowskiego, od którego odtoczył się w ostatniej drodze, nałożyła na niego obowiązek świadczenia o tych, co nieludzko umierali. Opowiadania z cyklu *Epoka pieców* zapewniają Rudnickiemu trwałe miejsce w literaturze polskiej. Kiedy inni szukali nowych środków dla oddania grozy przeżytych czasów, on sięgnął do źródeł, do biblijnego lamentu Hioba, do skarg proroków pełnych liryzmu i patosu. Skupił się nie na ukazaniu masowości zagłady, lecz na głębokiej tragedii jednostek przeżywających dylematy etyczne w granicznych sytuacjach, w których postawiła ich historia. Nad światem przewala się apokalipsa, a u Rudnickiego nadal istnieje miłość, bohaterstwo, wierność i pragnienie czystości etycznej lub tragiczna świadomość przegranej. Cykl *Epoka pieców* nigdy nie został zamknięty, jego pierwszym podsumowaniem było *Żywe i martwe morze* /1952/ dopełniane później utworami tej miary co *Kupiec łódzki* /1963/ z przenikliwą analizą mechanizmu podporządkowywania się władzy totalitarnej.

Epoka holokaustu przechodząc do przeszłości zostawiła jednak w dziele Rudnickiego niezatarty ślad, od tego czasu jego twórczość przedstawiać będzie „świat po końcu świata”, choćby opisywała blache zdarzenia lub wakacyjne flirty. Bohaterem tych opowiadań

[*Teksty małe i mniejsze*] /1971/, *Zabawa ludowa* /1979/ jest zazwyczaj przybysz, wędrowiec, ktoś „wygnany ze wszystkich światów”, obcy, niepodobny do innych, samotny. Miłość w tym świecie jest taka jak w *Niekochanej*, skazana na osamotnienie. W rzeczywistość wkracza zło, fałsz, nieszczerłość, obłuda, nieautentyczność, człowiek szuka więc oparcia poza rzeczywistością, ma bowiem przecucie innej rzeczywistości. Pozornie jest to proza realistyczna, ale nie ma tu rzeczywistości naśladowanej, kreacja Rudnickiego rządzi się raczej prawami snu niż jawy. Dialogi bohaterów pełne potocznych, codziennych zwrotów dalekie są od naturalności. Ich rytm podporządkowany jest zupełnie innej, wewnętrznej melodii, może wyniesionej z melodyjnego odczytywania Pisma w chederowej ławce lub zaśpiewu kantora.

Rogaty warszawiak /1981/, *Sto lat temu umarł Dostojewski* /1984/, *Teatr zawsze grany* /1987/ reprezentują bogaty nurt eseistyczny twórczości Rudnickiego, u jego początków stoją „*Niebieskie kartki*” publikowane od 1954 roku. Te książki zachowały ich charakter: urywkowość refleksji, opisu, łatwość zmieniania toku myśli, wychodzenie od blabej często obserwacji prowadzącej do filozoficznej refleksji. O tym quasi-gatunku pisał Kazimierz Brandys: „Do niczego niepodobne zmieszanie kilku gatunków: eseju i beletrystyki, refleksji intelektualnej z reportażem, publicystyki z moralitetem”. Ich role i los, zwłaszcza tych z okolic 1956 roku, a więc pomieszczonych w tomach *Słepo lustro tych lat* /1956/ i *Prześwity* /1957/ były jak napisał Tomasz Burek: „*Najodważniejsze, najuczciwsze, dygocące od pasji wymierzania sprawiedliwości stalinowskiemu światu [...], właśnie one — skazane na niepamięć, razem z tomem *Prześwity* wypchnięte za kurtynę milczenia*”.

Pisarstwo rozumiał Rudnicki zawsze trochę na sposób dziewiętnastowieczny — jako powołanie, wybranie do roli szczególnej: two-

żenia w słowie, ale rozumianym nie jak u współczesnych mu awangardzistów. Jego słowo wywodziło się z Biblii i do tego absolutnego wzorca miało się zbliżać. Stąd niespotykana u innych pisarzy troska o doskonały kształt dzieła, dla którego druk nie był formą ostateczną, stale poprawianego albo wręcz wyrok zapomnienia dla dzieła skazanego.

O rzeczywistości wypowiadał się tylko poprzez literaturę, po kilku nieznacznych ukłonach w stronę socrealizmu osiągnął artystyczną niezależność, może trochę egotystyczną. Kiedy więc historia nabierała przyspieszenia i pisarstwo wspierało politykę a polityka pisarstwo, on pozostawał samotniczy, nieatrakcyjny, coraz bardziej gorzki. Ta skrajnie indywidualistyczna postawa podyktowała mu tom *Sto lat temu umarł Dostojewski*, pisany na przekór ogólnonarodowemu solidaryzmowi roku 1980 i 1981 oraz pierwszej fali euforii. Nie mógł on być wówczas wydany oficjalnie i ukazał się w drugim obiegu a tam nie był oczekiwany. Krytyka przyjęła go chłodno, jeśli nie niechętnie. Pojednanie pisarza z krytykami, powrót do szerszego grona czytelników nastąpił po wydaniu *Krakowskiego Przedmieścia pełnego deserów* /1986/, książki, której bohaterami są niezjący już Andrzejewski, Jastrun, Gombrowicz — wszyscy z jego pokolenia.

Z Adolfem Rudnickim widziałem się po raz ostatni w jego mieszkaniu na Kanonii 25 października. Rozmawialiśmy o jego planach pisarskich, nic nie zapowiadało tej wiadomości, która zaskoczyła mnie w trzy tygodnie później. Mówię o Nim tak jak On o zmarłym: „*Pierwsze dni po czyjejs śmierci. Wydaje się ona nieprawdopodobna, nadal żyjesz nadzieją, że wyjdiesz na ulicę i spotkasz go. Śmierć kogoś bliskiego nie może znaczyć tego, co znaczy, musi przejść wiele etapów.*”

„*Żyjesz, a wraz z tobą, w twojej głowie, w twoim rytmie żyją zjawiska, do których przywykłeś, mieści się w nich i ten, co odszedł. Jeszcze nie odszedł. Jeszcze nie!*”

M. Zych

Rok książki

Na początku trzeba sobie zdać sprawę z tego, że ten rok był pierwszym właściwie, od bardzo dawna, z którym książce, wydawnictwom i czytelnikom przyszło funkcjonować w nowej, praktycznie nieznannej sytuacji. Ta sytuacja to oczywiście jeszcze nie gospodarka rynkowa w pełnym tego słowa znaczeniu, ale przynajmniej jej ślad.

Jak więc wyglądał rynek książki poddany wymogom komercjalizacji i rodzącej się powoli konkurencji? Właśnie — konkurencja, bo to także jedna z tych nowych jakości jakie pojawiły się w tym roku. Dotychczasowi monopolisci, państwo i spółdzielczy wydawcy uracili swoją uprzywilejowaną pozycję i przyszło im konkurować z bardzo prężnie się rozwijającymi wydawcami prywatnymi.

Pierwsze dni nowego roku zao-wocowały oczywiście co można było przewidzieć — bo nic nie jest trwalsze od nawyku — ogromnymi podwyżkami cen książek. Motywowane to było ogólną podwyżką kosztów energii, papieru i usług poligraficznych — tymi argumenta-

mi posługiwali się wydawcy. Natomiast księgarze, już bez zbędnych komentarzy, po prostu znacząco podnieśli swoje marże. Na efekty nie trzeba było długo czekać — księgarnie, dotąd zapełnione głównie książkami niechcianymi, nagle obrodziły tytułami, o kupnie których dawniej normalnie klient księgarni tylko marzył.

Ogólny koszt kosztów utrzymania spowodował, że książka, do tej pory stosunkowo tania, nagle zaczęła być postrzegana jako przedmiot luksusowy, rynek okazał się być płytki i nawet najatrakcyjniejsze tytuły długo muszą teraz czekać na nabywcę.

Czy więc rzeczywiście jak chcą niektórzy mamy do czynienia w tym roku z kryzysem książki i upadkiem czytelnictwa? Czy rzeczywiście polityka rządu a zwłaszcza ministrów Balcerowicza i Cywińskiej grozi upadkiem polskiej kultury? Czy rzeczywiście grozi nam zalew szmiry, literackiej tandety i pornografii? Zapewne, w tych kassandrycznych wizjach jest trochę prawdy i słusznych obaw. Śmiem jednak twier-

dzić, że mamy do czynienia nie tyle z kryzysem, lecz raczej z nagłym, nieprzewidywanym pojawieniem się NORMALNOŚCI. Normalności, której większość z nas nie potrafi jeszcze zaakceptować.

Ten rok przede wszystkim rozwiał funkcjonujący, choć nie do końca wyartykułowany, mit o wyjątkowości naszego społeczeństwa. Społeczeństwa które, jak można było sądzić po zewnętrznych objawach, zajmowało się — obok pracy i walki z komunizmem — zbiorowym pochłanianiem co bardziej wyrafinowanych i hermetycznych dzieł światowej i rodzimej twórczości literackiej. Gdzie bowiem jest drugi taki kraj, w którym kilkunastotyśięczne nakłady klasyków znikająby w mgnieniu oka z półek księgarskich, a tak przecież jeszcze niedawno u nas było. Trzeba się pogodzić z faktem, że obecnie przestaniemy, a właściwie już przestaliśmy odbiegać od europejskiej i światowej normy.

Ta sytuacja jest niewątpliwie trudna i dla dotychczasowych monopolistów, przyzwyczajonych

do państwowej opieki, dyskomfortowa. Co by nie mówić, komuniści cenzurowali i stawiali wymagania natury politycznej, ale z drugiej strony dawali pieniądze. Teraz wymagań i cenzury już nie ma, nie ma także dotacji, o pieniądze trzeba samemu się zarozumieć — czyli je zarobić, a to przy nasyceniu i z powodów finansowych mniej chłonny rynek zaczyna być bardzo kłopotliwe. Najprościej jest więc rozdzierać szaty i rozliczać apokaliptyczne wizje — w ten sposób domagając się zachowania status quo ante — no, może bez tej pasludnej cenzury.

Trudniejsze natomiast jest dostosowanie się do nowych warunków. Ale wreszcie trzeba będzie sobie uświadomić, że w normalnym kraju nie jest możliwe to co nieźle funkcjonowało w real socjalizmie.

Nigdzie na świecie nie mogą egzystować wydawnictwa, zatrudniające taką samą liczbę osób jak ilość wydawanych przez nie tytułów. Cykl wydawniczy nie może trwać lata, lecz co najwyżej miesiące lub co lepiej tygodnie. Nie każdą książ-

kę można wydać w dziesiątkach i setkach tysięcy egzemplarzy, lecz trzeba działać tak, aby nakład kilku tysięcy był już opłacalny. I wreszcie książka, stając się artykułem luksusowym, wymagać zaczęła luksusowej, a przynajmniej przyzwoitej oprawy, no i co równie ważne — reklamy.

O tym, że jest to możliwe przekonuje nas przykład kilku nowych wydawnictw — oczywiście prywatnych — które w tym roku rozpoczęły swoją działalność. I wszystko wskazuje na to, że to właśnie one będą musiały wypełnić lukę, jaka nastąpi po rychłym bankructwie niereformowalnych wydawniczych mastodontów — co wprawdzie odbędzie się z pewną siłą dla kultury polskiej, ale jej jednak nie zagrozi.

Odkrycia literackie

Witolda Turdzy

Tomik, którego nie ma

Niedawno dotarła do nas wiadomość, że znakomita poetka Wisława Szymborska, przygotowała tom wierszy pt. „Człowiek na kładce”. Z różnych powodów nie doszło jednak do jego napisania. Powstał tylko jeden wiersz, który zniechęcona autorka schowała do szuflady. Wielbicielom talentu W. Szymborskiej udało się wykraść go i czym prędzej opublikować. Sądzymy, iż po naszej publikacji autorka nie będzie już dłużej skrywała tego skarbu i włączy go do kolejnego tomiku, na który wszyscy czekają.

Przerwana opowieść

Na odejście świata

Nie jesteśmy nigdy gotowi.

Jeszcze wąż Samosierry nie dudni kopytami.

Jeszcze Sardanapala nie dosięgnął miecz.

Musimy stanąć na piasku areny Colosseum,

spojrzeć na miasto ze stoków Cytadeli,

wkroczyć dumnie na szafot na dziedzińcu Tower,

zadławić się dymem stosu na Campo di Fiori.

Cios noża z obsydianu

Skończy wszystko od razu.

Śmieszne jest gromadzenie zaszczytów,

marzeń, muszelek, książeczek czekowych, pochlebstw.

Balsamowanie albo hibernacja,

obydwa sposoby jednakowo skuteczne.

Przodem pójdą trębacze i mnisi w kapturach.

Napis „najukochańszej” będzie najwłaściwszy.

Kto wygłosi mowę, jeszcze nie wiadomo.

Próbowałam igitami kluc lalki,

zrzucić winę na Boga ducha winnych,

przeciwników oczerniać na lamach.

Podobno od donosów pękają biurka.

Więc zaprzeczyliśmy, że się kręci,

potępiliśmy burżuazyjny światopogląd,

wyrzekliśmy się błędów,

wyparliśmy się, że wszech miar kompromitującego,

uprawiania grupowego seksu.

Nadchodzi pora zapalenia świec.

Zawezwijmy depezą ciocię z Radziszowa.

Porozrywajmy twarze paznokciami.

Oby zejście było lekkie

i, jak mówią, bezbolesne.

Niech nie płaczą i nie krzyczą.

Mogą bić żałobne dzwony,

bo to stworzy niewątpliwie podniosły

oraz godny takiej chwili nastrój.

A najlepiej odejść nagle,

żeby nie wiedzieć kiedy.

Tego daru

udzielcie mu, niebieskie moce.

Dekada Literacka - tygodnik kulturalny

Wydawca: Spółka Wydawnicza "Gazeta Krakowska"

Adres: 31-072 Kraków, ul. Wielopole 1 IV piętro

Redaguje Zespół: Leszek Elektorowicz, Ewa Lipska,

Krzysztof Lisowski (sekretarz), Jerzy Lohman,

Włodzimierz Maciąg, Leszek Orłowski (grafik),

Jan Piekło, Jan Prokop, Bogdan Rogatko,

Dorota Terakowska (redaktor odpowiedzialny),

Teresa Walas, Marta Wyka

Współpracują: Danuta Abrahamowicz,

Stanisław Białbus, Waclaw Iwaniuk (Toronto-Kanada),

Stanisław Lem, Leszek A. Moczulski, Tadeusz Nyczek,

Marek Rostworowski, Jan Józef Szczepański,

Wisława Szymborska

Andrzej Zareba przedstawia:



Aleksander Małachowski
wariant pustelnicy

GRAF

FITI

CZYLI MÓWIA MURY

Oto mój świat
a ja w nim począ-
tkiem bez granic
i odwiecznego wsty-
du istnienia

/Osip, Łódź/

Sztuka sprzedawana
jak dziwka
pośród brudnej nocy
stemplowana
niczym bydło prowa-
dzone
na ubój

/Łódź/

HIV HIV HURRA!

/Bielsko—Biała/

Kwiat jabłoni is
beautiful

/Bielsko—Biała/

DRESZCZOWIEC

„Moje peruwiańskie doświad-
czenie przekonało mnie, że w każ-
dym środowisku istnieje nieuf-
ność wobec obcych lub też zarażo-
nych obcością, którzy mogliby
zagrozić zastalym układom miej-
scowym. Jedyne co może przewy-
ciżyć ten stan to czyny i czas,
a czas w sytuacji kryzysu jest
trudnym do zaakceptowania luk-
susem.

Aby zredukować czas niezbęd-
ny do wprowadzenia zmian i złą-
czyć duchem wspólnego czynu
wszystkich ludzi, w których żyłach
płynie polska krew, należy wybrać
cel bliski sercom i umysłom, bez
względów na osobiste przekonania
i światopogląd. Takim celem, któ-
ry może zjednoczyć Polaków na
świecie we wspólnym działaniu
jest wojna.”

„Najbardziej skuteczną bro-
nią dla Polski jest dziś 'intelligen-
tna' rakietą średniego zasięgu,
wyposażona w głowicę jądrową
wielkości megatony. To bardzo
mała rakietka jak na dzisiejsze
standardy. Dla porównania
podam, że 13-kilotonowa bomba
zrzucana na ziemię zabiła 130
tysięcy ludzi, uczyniła kalekami
70 tysięcy, a następne 70 tysięcy
umarło w rezultacie choroby
popromiennej. Nowoczesna bom-
ba wodorowa jest tysiąc razy moc-
niejsza od bomby 'A', która działa
w niej tylko jako zapalnik. Bomba
'H' jest tak wydajna, że zabija 10
milionów ludzi niewielkim kosz-
tem dwunastu centów amerykań-
skich za jedno życie ludzkie.”

STAN TYMIŃSKI
„ŚWIĘTE PSY”

Hyde Park

Zapraszamy Was do Hyde Parku „Dekady
Literackiej”. Będzie to stałe miejsce w naszym
tygodniku, w którym drukować będziemy
Wasze listy, Wasze próbki literackie.

Będzie to wasze miejsce – i w pełni
autonomiczne, sami wypełnicie je swoimi
tekstami. Jeden warunek: bnie krótko!

Czekamy!

Redakcja